

W co grają ludzie?



Fascynuje mnie to, jak bardzo potrafimy się sami pokrzywić, by się dostosować, odnaleźć w świecie. Ile wkładamy wysiłku w to, by zbudować sobie bardziej poprawną, miłszą tożsamość... – mówi

dramaturg **David Lindsay-Abaire**, tegoroczny laureat Nagrody Pulitzera za sztukę „The Rabbit Hole”, autor z sukcesem wystawiany na Broadwayu i ostatnio w Warszawie

Rozmawia **Tatiana Cichocka**

– Bohaterowie pana sztuki „Pomrocność jasna”, której premiera odbyła się we wrześniu w Centrum Artystycznym „Montownia”, są, ogólnie mówiąc, specyficzni. Claire ma amnezję, jej syn jest narkomanem, jej były mąż to więzień, matka miała wylew i nie można zrozumieć, co mówi, a Millet ma rozszczepienie jaźni... Lubi pan outsiderów?

– Rzeczywiście, najczęściej zdarza mi się pisać o ludziach mocno zaburzonych. Na tym polega humor moich sztuk: tacy bohaterowie zachowują się w sposób nieoczekiwany, zaskakujący, prowokujący, nieadekwatny do sytuacji – przynajmniej z perspektywy tak zwanego normalnego obywatela. To pozwala mi doświadczać badać granice owej normalności, zadawać pytanie, co jest normą w dzisiejszym pokręconym świecie. Dla mnie najważniejsze jest jednak to, że pod maskami outsiderów i dziwaków skrywają się ludzie głęboko prawdziwi w swojej walce o to, by

funkcjonować mimo wszystko. Są śmieszni, ale nie groteskowi, wzruszają, bo mimo oczywistych ułomności szukają szczęścia i nie tracą nadziei. Dla mnie to najbardziej ludzki stan. Mam nadzieję, że widzowie to dostrzegą, że odnajdą w nich siebie samych.

– Claire cierpi na całkowity zanik pamięci: codziennie budzi się, nie wiedząc o sobie nic. Na nowo buduje swoją tożsamość: pró-

Hanna Kochańska, odtwórczyni roli Claire, na zdjęciu promującym spektakl „Pomrocność jasna”

buje się dowiedzieć, kim jest, kim są ludzie wokół, o co chodzi w wydarzeniach, w których bierze udział.

- Mam wrażenie, że podobnego stanu doświadczamy czasem niemal wszyscy. Budzę się i zastanawiam: Dlaczego tak wygląda moje życie? Czy naprawdę jestem tym facetem, którego widzę w lustrze? Jak to się stało? O tym właśnie jest ta sztuka. O ludziach, którzy czują się zniszczeni, zmęczeni tym, że nie widzą sensu, nie radzą sobie ze sobą i światem. I jedynym sposobem, by dalej funkcjonować, jest dla nich odgrywanie kogo innego. Bohaterowie „Pomrocności...” wkładają dużo wysiłku w to, by zbudować sobie bardziej poprawną, miłszą, zdrowszą według nich tożsamość i się jej trzymać. Mąż Claire mówi wprost: już nie jestem tamtym facetem. Już nie jestem agresywnym ćpunem, który włamywał się do cudzych domów, czytam Biblię i prasuję. Więc udaje przed światem i sobą, że jest domatorem i troskliwym mężem, który opiekuje się chorą żoną. Tyle że ta nowa tożsamość jest bardzo słaba, niewiele trzeba, by się rozsypała w pył, co pokazuję w mojej sztuce. Nie da się uciec od siebie samego.

- Tak pan postrzega ludzi? Jako uszkodzonych przez życie, schowanych za maskami samotników?

- Wszyscy do jakiegoś stopnia jesteśmy uszkodzeni przez wychowanie, coś wypieramy, czemuś w sobie zaprzeczamy. Wszyscy chcemy być lubiani, chcemy, by nas postrzegano w lepszym świetle, więc udajemy kogo innego. To pozwala nam funkcjonować. To może być dość niewinna zabawa w udawanie. Ale wyparcie jakiejś ważnej części siebie i nienawiść do siebie samego może prowadzić nawet do czegoś tak brzemennego w skutki, jak inwazja na inny kraj - tego uczy historia. Fascynuje mnie to, jak bardzo potrafimy się sami pokrzywić, by się dostosować, odnaleźć się w świecie. I czy da się w ogóle odnaleźć

siebie i jakiś sens w tym świecie, który zdaje się nie mieć sensu?

- Bohaterowie pana sztuk budzą śmiech, a nawet politowanie, ale to, jak desperacko próbują nadać ów sens swojemu życiu, bardzo porusza.

- Cieszę się, że tak to pani odebrała. Niestety, niektórzy reżyserzy nie chcą zobaczyć drugiego dna, wystawiają moje sztuki po prostu jak farsy, komedie. Jeśli tak się dzieje, sztuka staje się bezwartościowa, jest jedynie chwilową rozrywką. A ten poziom twórczości mnie nie interesuje.

- Zwraca uwagę język, jakim napisana jest „Pomrocność...”, zachowany w polskim tłumaczeniu. Każda postać mówi inaczej, każda w sposób jakoś zaburzony. Kulawy i jego syn Kenny seplenią, matka Claire Gertie na skutek wylewu mówi zupełnie niezrozumiale...

- Chciałem pokazać, jak trudne jest porozumienie się z innym człowiekiem, szczególnie w rodzinie, gdzie w grę wchodzi emocje. Świadomie stworzyłem świat, który jest bardzo dosłowny w swojej ułomności. Zniekształcona mowa ma wymiar symbolu i daje oczywisty efekt komiczny. Wnosi wiele również na poziomie warsztatu. Sztuka ta jest rodzajem kryminału. Jediną osobą, która zna wszystkie odpowiedzi, jest Gertie, ale wskutek wylewu, który przeszła, nikt nie rozumie, co mówi. Był to więc zabieg, który umożliwił mi utrzymanie tajemnicy aż do finału. Ale jeśli już jesteśmy przy Gertie. Z początku, gdy coś mówi, ▷

David Lindsay-Abaire dramaturg amerykański, autor scenariuszy filmowych i musicali, uważany za jednego z najważniejszych przedstawicieli teatralnego nurtu off-Broadway. Pochodzi z robotniczej dzielnicy Bostonu. Ukończył prestiżową nowojorską szkołę teatralno-muzyczną The Julliard. Za dramat „The Rabbit Hole” otrzymał w 2007 roku Nagrodę Pulitzera. Debiutował w 1999 r. napisaną jeszcze podczas studiów sztuką „Pomrocność jasna” („Fuddy Meers”), która od razu przyniosła mu sławę. Pracuje właśnie nad stworzeniem musicalu „Shrek”, który zostanie wystawiony na Broadwayu.





Scena ze spektaklu „Pomrocność jasna” (premiera 15 września 2007, reż. Piotr Nowak)

widownia się śmieje, bo myśli, że stara kobiecina po prostu coś tam bełkocze... Jednak gdy ucho przyzwyczai się do jej mowy, widzowie zaczynają ją rozumieć. I zaczynają się śmiać z jej dowcipów. Śmieją się, bo zrozumieli, a nie, jak do tej pory, bo nie zrozumieli. Niby drobiazg, ale takie smaczki najbardziej mnie pociągają. Zaczynamy na jakimś poziomie, widownia się wciąga, więc możemy wejść poziom wyżej, więcej rozumieć.

- Co oznacza oryginalny tytuł sztuki „Fuddy Meers?”, nie jest to angielskie słowo...

- To zniekształcone przez Gertie słowa „funny mirrors”. Oznaczają krzywe zwierciadła, takie z wesołego miasteczka, które karykaturalnie wykrzywiają czyjeś odbicie. To centralny obraz sztuki. Cała, łącznie z tytułem, jest zniekształconym przez krzywe zwierciadło odbiciem rzeczywistości.

- Nie wszystkie pana sztuki to komedie. W tym roku dostał pan Nagrodę Pulitzera za sztukę naturalistyczną.

- „The Rabbit Hole” („Królicza nora”) była pierwszą niekomediową sztuką w moim dorobku. Zresztą te podziły według mnie się przeżyły. Co to jest dzisiaj komedia? Czym jest dramat? W moich sztukach jest i to, i to. Nawet w „The Rabbit Hole”, która opowiada o dysfunkcyjnej rodzinie próbującej się pozbierać po śmierci czteroletniego syna. Poważny temat, zdarza się, że ludzie płaczą na widowni, a mimo to są chwile, gdy cała sala się śmieje. Wszyscy się dziwią, jak sztuka o czymś takim może być zabawna. Może. Bo takie jest życie. Niejednoznaczne, nieprzewidywalne. I tacy jesteśmy my sami.

- Interesują pana dysfunkcyjne rodziny?

- Coś na ten temat miałby pewnie do powiedzenia mój psychoterapeuta... Zresztą czy jest coś takiego jak zdrowa rodzina? Muszę jednak przyznać, że bohaterowie moich sztuk mają ze mną coś wspólnego: poczucie zagubienia w świecie. Czy to jest Claire, która na skutek wstrząsu nie wie nic o sobie, czy bohaterka „The Rabbit

Hole”, której mieszczańskie życie śmierć synka wywraca do góry nogami. Takie momenty mnie interesują, bo zmieniają człowieka bezpowrotnie.

- Były takie w pana życiu?

- Dzięki Bogu nie tak dramatyczne. Całe życie czułem się outsiderem. Pochodzę z biednej robotniczej dzielnicy Bostonu. Kiedy miałem 11 lat, dostałem stypendium na naukę w drogiej, prestiżowej szkole na przedmieściach. Tam wszyscy byli inni. Bogaci, dobrze ubrani, czytani... Nie rozumiałem ich świata, ale po kilku latach wiele się nauczyłem, nasiąknęłam po trosze tym światem. I okazało się, że do mojego świata już też nie pasuję. Tkwiłem gdzieś pomiędzy. Wiele rzeczy było dziwnych, niezrozumiałych. Trochę jak świat odbity w krzywym zwierciadle...

- Nadal się pan tak czuje?

- Mam wrażenie, że takie poczucie stało się naszym wspólnym doświadczeniem po 11 września. Świat w jednej chwili stanął na głowie i nic już nie jest takie, jakie było. Jesteśmy zmuszeni na nowo budować swoją tożsamość. To dotyka nie tylko Amerykanów. W jednej chwili świat może stracić swój sens. I wtedy jesteśmy jak Claire, która z dziecięcą naiwnością pyta: Kim jestem? O co chodzi w tym świecie? □



Hanna Kochańska (Claire) i Piotr Miazga (Millet) podczas prób